

## ***Młody wstecznik***

„Robotnik”  
24 XII 1931 r.

Wśród nużącej szarzyzny naszej współczesności, wśród odrętwienia ideowego i wszechwładnego panowania „ideologii” pozbawionej kośćca i busoli, tym dotkliwiej daje się we znaki zastraszający wprost zanik rodzimej twórczości literackiej. W czasach niewoli czerpaliśmy otuchę i nadzieję na przyszłość, wchłaniając każde słowo Wyspiańskiego i Żeromskiego. Wierzyliśmy, że to rozdieranie ran narodowych jest często może kuracją okrutną, lecz niewątpliwie skuteczną, że Ormuzd musi wreszcie pokonać Arymana. Po trzykroć szczęśliwy Żeromski, że nie dożył dzisiejszej sromoty poniedziałku poniepodległościowego! Wielkie serce tego, który w najtajniejszych snach wymarzył sobie ową Polskę tęczywą, ojczyznę-matkę wszystkiego, co uciśnione, krwią by spłynęło w obliczu naszej ponurej i beznadziejnej rzeczywistości.

Nie ma już tego tytana pióra, który byłby nam dziś mistrzem i ucieczką w godzinę zmierzchu świadomości narodowej, który by i teraz budził niechybnie sumienia i zagrzewał do walki o najświętsze ideały! Z tym większym utęsknieniem oglądamy się wokoło, poszukując w literaturze drogowskazów ideowych, spodziewając się po niej protestu przeciwko smutnej rzeczywistości, nawiązania do wątku prac całego żywota zmarłego wychowawcy pokolenia. Ale na jałowym ugorze nie wyrastają kwiaty, jeno złe chwasty.

Zamknąłem oto książkę młodego pisarza, stanowiącą, jeżeli się nie mylę, jego debiut literacki. Książka napisana jest, należy przyznać, nie bez talentu i czyta się gładko. Pierwociny literackie autora stanowią opowieść fantastyczną, przenoszącą ludzi współczesnych nie w przyszłość, jak to się dzieje w klasycznych powieściach fantastycznych Bellamy’ego czy Wellsa, lecz w przeszłość, do pogańskiego imperium Rzymskiego w czasach Tytusa. Dzieje się to za sprawą peyotlu, kaktusa, rosnącego w Meksyku, a czczonego przez Indian ze względu na swe właściwości narkotyczne; Indianie wierzą, że narkotyk ten wywołuje zjawiska parapsychiczne, gdyż ma rzekomo pozwalać na dowolne przenoszenie się w przestrzeni i w czasie. Otóż mistrz Bodineau wraz ze swymi uczniami zażywa peyotlu i przenosi się ze współczesnego Castellamare do starożytnej Pompei. Ale któż to reprezentuje wobec starożytności pokolenie współczesne? Mistrz Bodineau, przypominający odrobinę w koncepcji *Paragota* Locke’a, czy nawet *Julia Jurenitę* Erenburga, był farmaceutą w czasie wojny w armii belgijskiej; po wojnie wywędrował do Meksyku, gdzie, [dzięki] swym wrodzonym zdolnościom kaligraficznym, zamianował się pułkownikiem sztabu generalnego i udekorował swą pierś licznymi orderami. Został też wkrótce szefem sztabu dywizji u generała Obregona. Poniósłszy klęskę w polu podczas zamieszek wewnętrznych, ratuje się ucieczką, nie zapominając jednak przezornie o kasie sztabowej. Przez dwa lata zbija dolary na przemycańcu peyotlu do ościennych Stanów Zjednoczonych, lecz gdy grunt zaczyna mu się palić pod nogami, likwiduje intratny interes i powraca do Europy. W Salonikach zwąchał się z dwoma drapichrustami z War-

szawy, którzy, „zaoszczędziwszy” sobie tutaj pewien kapitał na tajnym gorzelnictwie, musieli z powodu rozmaitych przykrości, związanych ze swym procederem, opuścić kraj rodzinny. Jeden z nich grawitował na prawo, drugi natomiast przyłączył się do socjalistów i napisał książkę *Tyrani XX wieku*, w której opisywał nędzę proletariatu, poczynając od strasznych stosunków w starożytnym Rzymie, skończywszy na współczesnych kopalniach węgla. Za książkę tę angielska Labour Party mianowała autora swym członkiem honorowym. Nie przeszkadza to Kubusiowi Schroetterowi w założeniu pospołu ze swym rodakiem i czcigodnym pułkownikiem Bodineau potajemnej destylarni wódki „raki” na jednej z wyspek morza Egejskiego. Gdy i tutaj pomysłowemu przedsiębiorcom robi się za ciasno, przenoszą swą działalność do Castellamare we Włoszech. Sprowadzają peyotle meksykańskie, jako orchidee, ale celnicy trafiają na trop afery i szlachetna spółka postanawia wyzyskać cudowne właściwości peyotlu, aby odbyć wędrówkę w czasie. Po zażyciu odpowiednich dawek narkotyku znajdują się w starożytnej Pompei. Jedną z pierwszych osób, które tu spotykają, jest obrotny pośrednik, hebrajczyk Ruben syn Szymona. Okazuje się więc, że i w starożytnym Rzymie każdy szanujący się Aryjczyk musi mieć swego Żyda – pachciarza lub pośrednika, bez którego kroku zrobić nie może, używając go do najrozmaitszych posług. W dalszym ciągu p. Zambrzycki opisuje w sposób żartobliwy przygody swych bohaterów w Pompei i Herkulanum aż do pamiętnego wybuchu Wezuwiusza, którego ofiarą padły obydwie te miasta. Cóż robią przedstawiciele chrześcijańskiej kultury współczesnej w pogańskim otoczeniu starożytnym?

Szerzą nowożytną kulturę za pomocą fabrykacji i sprzedaży kart do gry oraz produkcji i rozpowszechniania okowity, pędzonej z wina. Ruch panuje w interesie i złoto sływa do kabzy! Hebrajczycy, którym, według relacji autora, autochtoni wyprawiają od czasu do czasu pogromy, występują ciągle na pierwszy plan, toteż odnosi się częstokroć wrażenie, że pułkownik Bodineau wraz ze swymi kamratami trafił zgoła nie do rzymskiego Herkulanum, lecz do jakowegoś bliskiego nam Pacanowa. Opowieści o tych Żydach utrzymane są w tonie „szmoncesów” jednej z wieczornych dziesięciogroszówek warszawskich. Spory teologiczne rabbich żydowskich jako żywo przypominają mądre wyroki cadyków podwarszawskich w wersji wspomnianego pisemka. Więc poszukiwacze przygód p. Zambrzyckiego znajdują tu czcicieli rudej krowy z trzystu trzydziestu trzema białymi włoskami. Krowę tę dostarcza sprytny Ruben, a w braku rudej, sprzedaje swoim pobratymcom łaciaste bydlę, pomalowane na odpowiedni kolor. Kubus podczas swych peregrynacji po Italii stwierdza, że ówczesni neapolitańscy Żydzi-chrześcijanie noszą „cycele” z przepisową ilością frędzelków, kąpią się w mykwie i dokonują pewnego zabiegu chirurgicznego wstrętnym nożem kamiennym, czego nie czynili Grecy-chrześcijanie, którym patronował Teofil, przyjaciel św. Łukasza-ewangelisty. Tuż zaraz następuje apokryficzny list apostoła do Teofila, przeprowadzający, wbrew Ewangeli, linię demarkacyjną pomiędzy chrześcijanami, Judejczykami a Helleńczykami.

Swoistą „ideologię” książki wieńczy jednak godnie jej zakończenie. Awanturnicy, ratując się ucieczką z zapadającej się w ziemię Pompei, nie zapominają o uczciwie zapracowanym złocie, zamieniają je w Neapolis na drogie kamienie i, po ponownym zażyciu roztworu peyotlu, lądują w dzisiejszym Neapolu. Towa-

rzystwo powiększyło się tylko o pogańskiego kapłana, Seutesa. Szlachetny zespół udaje się następnie do ojczyzny „mistrza” Bodineau, gdzie w małej mieścinie Franchimont za uzyskane z rozpijania starożytnych Rzymian pieniądze (a było tego 7 do 8 milionów lirów!) odbudowują zniszczony podczas wojny kościół pod wezwaniem Naszej Pani Radosnej (Notre Dame Joyeuse), za którą uchodzi przetranslokowany ze starożytności, dzięki peyotlowi, posąg pogańskiej Junony. Co więcej, posąg ten stał się cudownym, gdyż na jego widok odzyskał władzę w nogach chodzący o kulach inwalida znad Izery. Podobną do Junony metamorfozę przechodzi też kapłan pogański, Seutes; dzięki kunsztowi kaligraficznemu mistrza Bodineau, kapłan uzyskał zaświadczenie, stwierdzające, że jest on księdzem greckim. Książkę zamyka najpiękniejszy akord: opodal Franchimont zamieszkiwał „paskudny typ, zawodowy wolnomyśliciel”, redaktor i wydawca pisma ateistycznego. „Takiego typu chciałoby się walić nie wiadomo za co, choćby nic nie zawinił... za każdy gest, za każde spojrzenie”. Otóż wolnomyśliciel ośmielił się w swym piśmie zarzucić bogobojnej trupie mistrza Bodineau komedianctwo. Cudownie uzdrowiony inwalida wraz z wynajętą bandą i szlachetnym Kubusiem demoluje drukarnię wolnomyśliciela Brulot i katuje go niemiłosiernie bambusem. Napad na drukarnię kosztował bohaterów 30 tysięcy franków, przyznane sądownie Brulotowi. Wyrok ten wywołuje westchnienie z ust Kubusia: „Psiakrew, on się dorobi za moje katolickie pieniądze!”.

Z uczuciem odrazy zamyka się tę książkę, w której żartobliwość tonu graniczy częstokroć z świętokradztwem. Poświęciliśmy jej więcej miejsca, aby dać czytelnikowi pojęcie o poziomie ideowym niektórych przedstawicieli najmłodszego pokolenia naszych literatów, nawet gdy posiadają oni niewątpliwy talent. Zastanawia nas jeszcze jedno: jak się to stało, że książka p. Zambrzyckiego ukazała się nakładem zasłużonego i poważnego wydawnictwa „Rój”?

*Observer* [Julian Maliniak]